

Nr. 25. — Rok XXVI.

Dnia 11 (24) Czerwca 1905 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

KRÓL PRZESTRZENI.



Ostatnia powieść Juliusza Verne'a.

Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a**.

Przekład M. F.



ROZDZIAŁ I.

Tajemnicze zjawiska.

Łańcuch gór, ciągnący się równolegle do wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej i przerynający Stany: Karolinę Północną, Wirginię, Maryland, Pensylwanię, New-York, nosi nazwę Alleganów albo inaczej Apalaszów. Tworzą go dwa pasma oddzielne: góry Kumberlandzkie na zachodzie i Niebieskie na wschodzie.

Długość Alleganów wynosi około 900 mil czyli 1600 kilometrów, średnia wysokość zaledwie dosięga 1600 stóp. Najwyższym szczytem jest Waszyngton.

Góry te mało przedstawiają uroku dla alpinistów.

Na początku 20-go wieku zwrócił jednak na siebie uwagę szczyt Great-Eyry, uważany przez turystów za niedostępny.

Jako główny inspektor policyi w Waszyngtonie, wziąłem czynny udział w niezwykłych wypadkach, których widownią była tak niedawno Ameryka Połnocna.

Great-Eyry znajduje się w górach Niebieskich, w Karolinie Północnej. U stóp jego leży wioska Pleasant-Garden, a nieco dalej miasteczko Morganton.

Skąd powstała nazwa Great-Eyry¹⁾? Może orły, sępy i kondory krążą nad tym szczytem częściej, niż nad innymi wierzchołkami Alleganów? — Przeciwnie, w ostatnich czasach stada skrzydlatych drapieżców zdawały się nawet unikać tajemniczego wirchu, rozpraszając się w najrozmaitsze strony z oznakami niezwykłego przerażenia.

Jaką tajemnicę kryły te wysokie, strome urwiska? Może jezioro górskie, może lagunę, które tak często znajdujemy nie tylko w Alleganach lecz i we wszystkich innych systematach orograficznych starego i nowego świata?

A może to krater uśpionego wulkanu, który wybuchnie lada chwila, zlewając na okolicę klęski podobne do tych, jakie sprowadzały wybuchy Krakatoa i Mont-Peleé. Może równinom Karoliny groził opłakany los Martyniki w 1902 roku.

To ostatnie przypuszczenie zdawało się mieć pewne uzasadnione podstawy. Pewnego razu wło-

ścianie, pracujący na polach, usłyszeli jakiś łoskot, głuchy, straszliwy.

W nocy zauważono ponad górami jakby snopy bladawych płomieni, które odbijając się od chmur zawieszonych poniżej rzucały na okolicę jakieś blaski posępne.

Z wnętrza Great-Eyry wydobywały się kłęby dymu i pary, zdradzając pracę sił wulkanicznych. Uniesione wiatrem ku wschodowi pozostawiały na ziemi ślady popiołu i sadzy.

Nic dziwnego zatem, że w obec zjawisk tak niezwykłych, w całej okolicy zapanował niepokój i żądza zbadania tajemniczego szczytu. Dzienniki stanu Karoliny nieustannie potrącały o tak zwaną „tajemnicę Great-Eyry“, roztrząsając pytanie, czy pobyt w Morganton, Pleasant-Garden oraz sąsiednich wioskach i fermach nie przedstawia niebezpieczeństwa poważnego; artykuły tego rodzaju rozbudzały zajęcie niezwykle wśród szerszej publiczności, interesującej się zjawiskami przyrody w ogóle, oraz obawy ze strony tych wszystkich, którym katastrofa groziła bezpośrednio.

Żałowano powszechnie, że dotąd nikt z turystów nie wdarł się na ten wirch skalisty i niedostępny.

W promieniu wielu kilometrów nie było żadnego szczytu wyższego, skądby się można było przyjrzeć, chociażby przy pomocy lunety, tajemniczemu Great-Eyry.

A jednak zbadanie to zdawało się w chwili obecnej prawie koniecznością. Dla dobra całej okolicy należało się przekonać, czy istnieje tam krater i czy wybuch wulkanu nie zagraża stanowi Karoliny. W tym celu postanowiono urządzić wyprawę na Great-Eyry, nie zwracając uwagi na trudność zadania.

Przedtem jednak zaszła okoliczność, mogąca usunąć potrzebę tej wyprawy.

W pierwszych dniach września aeronauta Wilker, zapowiedział swój wylot w Morgantonie, korzystając z wiatru wschodniego balon możnaby skierować ku Great-Eyry, a wzniosłszy się o kilkaset stóp ponad wierzchołek, Wilker, przy pomocy lunety, mógłby zbadać jego tajemnicę.

Wylot został wykonany według programu. Wiatr był umiarkowany, niebo czyste i pogodne. Mgły poranne rozproszyły się pod wpływem promieni słonecznych. Wzrok sięgał daleko. W tych warunkach aeronauta z łatwością mógłby dostrzedz na Great-Eyry obecność dymu i pary, które oczywiście, stwierdzałyby hipotezę wulkanu — o co głównie chodziło. Balon wznosił się na wysokość 1500 stóp i zawisł w przestrzeni nieruchomo. Wiatru nie było najmniejszego. Lecz co za zawód! Po upływie kwadransa nowy prąd powietrza porwał balon i skierował go ku wschodowi, oddalając od pasma gór. Wkrótce potem

*) Powieść ta w oryginale francuskich nosi tytuł: Le maitre du monde (pan świata.)

¹⁾ Wielkie gniazdo.

dowiedziano się, że opadł na ziemię w pobliżu miasta Raleigh w Karolinie Północnej.

Wielkie nadzieje spełzły na niczem — po stanowiono wprawdzie przedsięwziąć nową próbę — lecz w warunkach pomyślniejszych.

Tymczasem niepokój w całej okolicy wzrastał. Wszyscy żyli pod grozą przewrotów wulkanicznych.

Ponad Great-Eyry widywano wciąż dymy sadzowate, błyski migające, światełka niepewne.

W pierwszych dniach kwietnia r. b. obawy nieokreślone dotąd zaczęły graniczyć z przerażeniem. Dzienniki rozniosły szybko wieści zatrważające.

W nocy z 4-go na 5-ty kwietnia straszne wstrząśnienie, któremu towarzyszył głuchy podziemny łoskot, zbudziło ze snu mieszkańców Pleasant-Garden. Powstała panika powszechna, wywołana myślą, że część górskiego łańcucha zapadła się w ziemię. Wszyscy rzucili się ku drzwiom gotowi do ucieczki, przekonani, że za chwilę otworzy się przed nimi jakaś przepaść olbrzymia, która pochłonie ich, sąsiednie fermy i wioski.

(d. c. n.)



LEON RYGIER.

W noc świętojańską.

BAJKA.

(Ciąg dalszy.)

OBRAZ TRZECI.

Gnom pierwszy.

No — już dosyć tej podróży,
Jeszcze się sierotka znuży —
Myśmy także zadyszani...
Do przystani!

Gnom drugi.

Do przystani!

W tej chwili tratwa mała
W wodzie się zakołysała —
Plusk wesoły się rozlega —
Barwny wianek mknie do brzegu...

Gnom pierwszy.

Kasiu! Kasiu!

Kasia.

Kto mnie woła?

Gnom pierwszy.

Otrzyj łezki —

Gnom drugi.

Bądź wesoła!

Gnom pierwszy.

nie lękaj się niczego.

Kasia.

Skąd te głosy do mnie biega?..

Kasia patrzy... Co się dzieje?..

Wkoło cały bór jaśnieje...

A od Wisły szumnej toni

Dwa karzełki krocza do niej.

Gnomy.

Patrz dookoła

Pomiędzy zioła —

Tak szczęście łni dla ciebie, —

Już kwiat paproci

W mroku się złoci,

Jak te gwiazdeczki w niebie...

Ponad klejnoty

Droższy kwiat złoty,

Co dzisiaj w noc zakwita, —

Niech łzy nie płyną...

Rwij go dziewczyno —

W nim twoja dola skryta...

Kasia słucha dziwnej pieśni —

Sama nie wie: śni czy nie śni...

I schyliwszy się ku ziemi,

Kwiat rączkami rwie drżącemi...

I nagle dziwy... Las nieznany

Rozwiął się we mgle, jak tumany...

Wesoła chata — słońce świeci...

Macocha... ojciec... Burek... dzieci...

— No, Kasiu, wstać już trzeba z łóżka

Gniewać się będę na leniuszka...

I — roześmiewszy się wesoło, —

Machocha ją całuje w czoło...

— Patrz — tu dla ciebie szklanka mleczka,

A tutaj pszenna jest bułeczka —

Tato ją z miasta przywiózł wczora..

No — wstawaj dziecko — śniadać pora

O Boże, Boże! Sen — czy złuda? —

Toż to prawdziwe jakieś cuda...

No — i powiedzcież państwo, proszę,

Kto serce zmienił tak w macosze?



Z. Morawska.



Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Zaczął go w siebie wciągać, i niuchać nosem, chcąc się dorożumieć, skądby pochodził. Nigdzie jednak nie dojrzał izby któraby na kuchnię, czy piekarnię wyglądała.

Aż na końcu korytarza dochodził go już taki zapach korzennych przypraw, że mu aż ślina do ust poczęła napływać, a w żołądku ekliwo się robiło.

Pociągnął nosem, a też i oczom nie dozwolił próżnować, i oto dostrzegł w ceglanej podłodze drzwi szczelnie zamknięte, przez które wszakże zapachy zdołały się wydobywać.

Nie namysławiając się pociągnął drzwi do gory za kółka żelazne, ku temu właśnie sporządzone, i ujrzał schody kamienne, jak gdyby w Nagłowicach lub Topoli do loszku prowadzące.

Teraz już nietylko zapachy, ale i para z warzących się potraw buchnęła nań całą siłą. Nie czekając więc, zbiegł szybko po schodach i ujrzał wielki komin z suto żarzącymi się węglami, przy których kuchci obracali na różnackich udźce baranie, suto tłustością obrosnięte, a czosnkiem zdala woniejące.

Na drugim zaś kominie nad płonącym ogniem wisiał potężny kocioł, a jeden z braciszków, znać kucharz klasztorny, mieszał w nim dużą warząchwą, nie spuszczać z oka rondli, które postawione na trójnóżkach, buchały smakowitą wonią.

Było tam jeszcze kilku mniejszych i większych pomocników, a każdy znać miał co robić i, w karności przez głównego kuchtę trzymany, nie rozglądał się po stronach.

Nikt też jakoś nie spostrzegł niepowołanego gościa, aż Mikołaj, śmiejąc się na całe gardło, zawołał:

— Boga mi, dojrzawszy, że z pod ziem dym się wydobywa, myślałem, że czego Boże broń, ogień kto pod klasztor podłożył, — gdy zaś wchodził do lochu, i dostrzegł płomień, lęk mnie począł ogarniać, czym nie natrafił na czeluście, gdzie dusze pokutujące za grzechy swe sprawiedliwości Boskiej się wypłacają, a tu widzę waszmościów godnie się zabawiających.

— To jeno tak na pozór — jeno na pozór, — ozwał się brat kanafasz czyli gospodarz, który siadłszy na taczkach od wożenia drow, przyglądał się pracującym, a teraz wzrok swój na przybysza zwrócił.

— Jeno na pozór! ciągnął dalej, przekrzywiając głowę to w jedną to w drugą stronę, — bo jakoś słusznie rzekł, to dusze wraz z ciałem za swoje grzechy i uchybienia, penitencją tutaj czynią.

— Oo! — przerwał Mikołaj, naśladując ruchy głową i przypatrując się mówiącemu.

— Tak, tak, — ciągnął dalej tenże, — to wszystko, co widzisz, jest tylko omanieniem zmysłu, tak wzroku, jak węchu, — w owym zaś kotle, który tak nad płomieniem się kołysze, warzą się przewinienia, a ciężkie grzechy takich, conie wołani do tego przybytku wstępują.

— Ooo, ooo! — zadziwił się jeszcze więcej przybyły, — patrząc rzekomo z lękiem na kociego, a zerkając jednocześnie na dopiekające się udźce.

— Ach, tak? westchnął kanafasz, a owe pieczenie, to też marna złuda dla węchu i wzroku, boć to jeno obżarstwo ludzkie w udźce baranie zamienione tak się przypieka,

— A niechajże ono na zawsze zginie, a innych na pokuszenie nie wiedzie? — zawołał imci Mikołaj.

A odsunawszy precz kuchcika nim się ten opatrzył, wyrwał rożen z pieczenia z komina, okręcił nim kilka razy nad głową zdumionych. Potem położył na stole, nożem przygotowanym już do krajania, oderznął z wielką zręcznością porządną zraz pieczeni dmuchając nań z całej siły, i z wielkim apetytem począł zjadać.

— Co acan najlepszego robisz! — zawołał przyskakując doń kuchta.

— Prawda, że najlepszego, — odrzekł Mikołaj przeżuwać pieczeń, — prawda, — poświęcam się, i dla uchronienia innych od najcięższego grzechu obżarstwa, obciążając niem własne wnętrze! — dodał, połykając smakowite mięsio i rożnem z nadkrojoną pieczenią wywijając mówiącemu nad głową.

Cała rzesza, będąca w kuchni w śmiech uderzyła, kuchci przestali obracać rożny, parobek, który właśnie przywiózł nową taczkę drow, wyszczerzył zęby, a wielki pies, który przez stojące otworem drzwi właśnie się zjawił, począł jeździć na ogonie, skakać koło uczującego dla zwrócenia jego uwagi.

Nawet brat kanafasz, nie porzucając swej poważno-jowialnej miny, przyglądał się fruwej nad głową kuchty pieczeni i zręcznym ruchom młodzieńca.

— To ci sztukmistrz! — z upodobaniem powtarzał.

W tem wbiegł zadyszany brat Serwacy, będący dziś właśnie na posłudze u przeora wołając:

— Poradźcież mi, na miłosierdzie Boga...

I nagle przestał, a przypatrując się zjadającemu pieczeń Mikołajowi, zawołał:

— Boga mi, toć to ten, przez którego o mało życia nie postradałem!

— Jaktó? spytano ciekawie.

— Najprzewielebniejszy kazał sprowadzić przybyłego gościa do refektarza na wieczerzę, obiegłem nietylko wszystkie korytarze, ale i ogród klasztorny, i podwórzec kościelny, ba, nawet i do kościoła zajrzałem, nigdzie ani oko, — zmachałem się, ledwo żyw, a ten się tu ukrył...

— W czeluściach kuchennych, — dokończył Mikołaj, zabierając się do ogryzienia kości, na której już nie wiele co było.

Cała rzesza wybuchnęła głośnym śmiechem. Wtem rozległ się stukot klekotki, zwołującej na wieczerzę.

NA BOŻE CIAŁO.

Idzie wielka procesya,
Szumi chorągwiami
O cześć Ci, wielki Boże!
Zmiluj się nad nami!

Przed kapłanem, co niesie
Najświętszy Oplątek,
Płyną dyny kadzideł,
Podąża rój dzieciak.

Sypcie, sypcie dziewczęta,
Jak aniołki białe,
Najpiękniejsze swe kwiatki
Dziś Bogu na chwałę!



Chodźcie zobaczyć, co się w letniej porze
Dzieje niekiedy w czarodziejskim borze!

CZARODZIEJSKI BÓR

Fantastyczny obrazek sceniczny w I-ej odsłonie.

OSOBY:

Grzyb—chłopczyk ucharakteryzowany, jako siwy staruszek, z długą siwą brodą. Cała postać owinięta w szarą papkę, mającą kształt łodygi. Olbrzymi kapelusz powinien wyglądać, jak grzyb prawdziwy.

Paproć—dziewczynka w białej sukience, ubranej wielkimi liśćmi paproci.

Wrzos—mała dziewczynka w różowej sukience, przybranej gałązkami wrzосу.

4 lub 2 żaby—mali chłopcy jednakowego wzrostu w zielonych ubrankach w maskach przedstawiających żaby. Skaczą i mówią, naśladując rechot żabi.

Zając—chłopiec tęgi, blondyn. Mówi powolnie, ruchy niepewne, bojaźliwe.

Motyl—dziewczynka w krótkiej spódniczce, z barwnymi skrzydełkami u ramion.

Sowa—pełna, pretensjonalna starsza dziewczynka. Mówi powoli, donośnie.

Biała gołąbka—dziewczynka z łagodnym wyrazem twarzy. Ubrana białą.

Kruk—ubrany czarno, z czarnymi skrzydłami. Wyraz twarzy posepny, mówi ponuro, porusza się powoli, majestatycznie.

Dudek—może mieć maskę dudka z dużym czubem. Frak, jaskrawy krawat, szkieleto w rękę.

Świerszcz—chłopak zgrabny, ruchliwy. Mówi prędko.

Czapla—starsza dziewczynka, wysoka, szczupła. Głos stary, gderliwy.

Mysz—mała, zwinna, szaro ubrana dziewczynka.

Wilk przewodnik (więksi chłopcy, ubrani w skóry
Wilk bury (wilcze, głosy grube, złowrogie.

Złota sarenka—dziewczynka o łagodnym, zmęczonym wyrazie twarzy.

Sroka—w czarne i białe piórka przybrana. Krzykliwa, pretensjonalna.

Scena przedstawia piękną polankę w lesie pełną zieleni, kwiatów i słońca. *Paproć*, *Wrzos* i *Grzyb* stoją nieruchomie podczas całego przedstawienia, wszystkie inne zwierzęta przeciwnie biegają, skaczą po scenie, naśladując ruchy odpowiednich stworzeń.

SCENA I.

Grzyb, Paproć, Wrzos, Żaby, Zając, Motyl, Sowa, Biała gołąbka, Dudek, Świerszcz, Czapla.

1 i 2 żaba. Kumo, co tam?

3 i 4 żaba. Zdechł pan bocian.

Wszystkie żaby. A my temu rade, rade, rade!

Czapla (gderliwie). Czego rechoczenie, głupie?

Motyl. A czego smucić się mają? Wszak żyjem tylko raz: spijamy miód z kielicha kwiatów, barwne skrzydełka rozpościeramy na blask i słońce. O, Boże, kochajmy świat, bawmy się, cieszmy! I szanowna pani Czapla, zapewne za atek swych młodych śmiać się lubiła? Ach! jak śmiać się zdrowo! Cha! cha! cha!

Wszystkie żaby. A my temu rade, rade, rade!

Świerszcz. Ćwierk!.. ćwierk!.. ćwierk!..

Biała gołąbka. Gru! gru! gru! cukru! grochu!

Wrzos. Miętko mi! ciepło mi!

Grzyb. Stoję przy drodze na jednej nodze dobrze mi! dobrze mi!

Paproć. Najszczęśliwsza z szczęśliwych — jam szczęścia kwiat. Chodźcie do mnie biedacy, nędzarze, pocieszę was, przytulę, dam chociaż ułudę — nadziei kwiat.

Chór dziewcząt. Będziemy jedli, będziemy pili, będziemy się weselili!

Chór chłopców (naśladując basy). Jak Bóg da! Jak Bóg da!

Biała gołąbka. Czemu tylko ty, zajączku, tak smutnie strzyżesz uszami?

Zając (z westchnieniem). Serce moje prze-czuwa coś złego.

Świerszcz. A to mi wrażliwy facet! Czy modnie na nerwy chorujesz, czy wprost złej starej dostałeś żółtaczkę?

Sowa. Pewno wątroba źle działa, lub śledziona spuchła.

Świerszcz. Cha-cha-cha! szarak—śledziennik ha-ha-ha!

Czapla. Ale u niego nawet wątroba i śledziona inne muszą nosić nazwy, u niego wszystko na wspak... Przecież on nie ma nóg...

Grzyb. Tylko skoki.

Dudek. Nie ma uszu...

Motyl. Tylko słuchy.

Paproć. Nie ma nawet krwi...

Wrzos. Tylko farbę.

Sowa. I sam nawet wstydzi się swej nazwy...

Grzyb. I przeżywa się szarakiem.

Wszystkie zwierzęta. Biedny szarak! biedny szarak!

Zając (wzdychając i załamując przednie skoki). Bom naprawdę biedny, uciśniony, prześladowany!

(d. c. n.)



Grzebień Maniusi.

(Dokończenie.)

— Nie, nie jestem sam; mam bardzo miłego i dystyngowanego towarzysza: grzebień szyldkretowy.

— Szyldkretowy, znowu? dlaczego nazywasz go szyldkretowym? ja znałam dotąd tylko grzebienie rzadkie i gęste.

— Ten jest rzadki, zwyczajny — ale nazywam go szyldkretowym, bo zrobiony z szyldkretu.

— A cóż to jest, szyldkret?

— Szyldkret, jest to rodzaj pancerza czyli skorupy pokrywającej ciało żółwi morskich, które żyją, w pobliżu wysp Sundzkich na oceanie Indyjskim.

— Ach, żółwie przecież i tutaj żyją w błotnistych stawach i rzeczkach i nikt ich nie uważa za coś szczególnego — burknęła szczotka. Nie myśl, że nam tak łatwo zaimponujesz swojemi opowiadaniem, bo przecież i my, mając ciągle do czynienia z głową, nie jesteśmy znów takie niemądre.

— Tak, ale zdaje się, że główka Maniusi, z którą właśnie macie do czynienia, musi być jeszcze dosyć pusta, bo wiadomości, które z niej czerpicie są okropnie niedokładne — piszczał z naciskiem cienki głosik z szuflady.

Żółwie żyją we wszystkich prawie strefach świata, na ziemi i w wodzie, z wyjątkiem stref północnych, gdyż zimna nie znoszą. A więc najpierw, te nasze zwykłe żółwie błotne, są małe, niepozorne i właściwie na nic nie przydatne. Przemysł ludzki nie zdołał ich dotąd zużytkować, a przytem jest ich tutaj tak niewiele, że może i nie warto by się tem zajmować.

Ale prócz nich, w oceanie Atlantyckim, u brzegów Afryki i Ameryki, a czasem i w morzu Śródziemnem poławia się żółw jadalny, którego mięso jest bardzo smaczne. Zwłaszcza

Kuchta pośpieszył czempredzej do kotła — kuchciki poczęły zgarniać węgle pod rożny, a kanafasz wołał:

— Żywo nalewać misy, — ojcowie zaraz się zejda, — a i o braciszkach nie zapomnieć!

— Znaj moją łaskę! — zawołał Mikołaj, rzucając psu kość ogryzioną.

I zaraz zwrócił się do Serwacego:

— Prowadź mnie acan do refektarza, kiedyć najprzewielebniejszy rozkazał.

— Wieczera mi się słusznie należy! — dodał.

— Toż waćpan ćwierć barana już pochłonał — rzucił przybyły.

— Ale nie w refektarzu, w obecności najprzewielebniejszego i wielebnych, — a to całe inaczej smakuje, — odciał się Mikołaj.

— Ostańcie z Bogiem, — rzucił na pożegnanie i szedł za Serwacym po tych samych schodach, po których przed chwilą dostał się do czeluści kuchennych.

(d. c. n.)



Listy z podróży.

(Wodospad Renu. Szkoła przyszłości.)

Przed paroma tygodniami prześliczny wieczór majowy zastał mnie w pociągu, dojeżdżającym do miasta Schaffhausen, leżącego w północnej Szwajcaryi, nad Renem. Oto pociąg gwizdząc przeciągle, zwiastuje bliską stację. Lecz to jeszcze nie Szafuza, tylko jakaś mała stacyjka. Sprzykrzyło mi się siedzieć w wagonie, więc bez namysłu chwytam mój bagaż, składający się z torby podróżnej, którą zarzucam na plecy i z kija, opatrzonego ostrym końcem do górskich wycieczek — i wysiadam z pociągu. Jestem zapalonym amatorem pieszych wycieczek i z przyjemnością przejdę kilka wiorst, dzielących mnie od wodospadu Renu, do którego

Słońce już zaszło i na winnice, znajdujące się po obydwu stronach drogi kładą się czerwone płaszcze, później przechodzące w fiolet. Na drodze pustki, czasem tylko spotykam spóźnionego wieśniaka, który grzecznie ukazuje mi drogę do wodospadu. Idę szybko i myślę sobie o czytelnikach, z którymi podzielę się swemi wrażeniami, a którzy zmuszeni są siedzieć w murach miasta. Wreszcie ucho moje chwytą

daleki szum, podobny do oddalonego grzmotu, zbliżającej się burzy. To zapewne wodospad!

Lecz choć blisko rzeki się znajduję, zarosła nie pozwalają mi nic dojrzeć! Dopiero z ganeczków, zbudowanych przez właścicieli zameczku Laufen, a znajdujących się tuż koło wodospadu, objąłem wzrokiem cały wodospad. Wiodok rzeczywiście śliczny!

Z wysokości kilkudziesięciu metrów spadają masy wody, rozbite o skały w białą pianę, hucząc, warcząc z wściekłości, że nie mogą nic zmiażdżyć po drodze! Nietylko, że nic nie miażdżą, lecz zaprzągnięto je do pracy, do obracania mnóstwa maszyn. Jakżeż się nie gniewać?

Ale oto z za chmury wypływa księżyc w pełni i, ciekawe spojrzenia rzuca na spieniony wodospad. Pod tym spojrzeniem woda jakby się uspokoiła, jakby przycichła nieco. Mnóstwo maleńkich cząsteczek wodnych unosi się w górę i tworzy niby duchy, wirujące nad wodospadem w świetle księżycowym. Duchy te unoszą się coraz wyżej i giną pod niebiosami a na ich miejsce wnet nowe korowody się zjawiają z rzeki.

Długie chwile wpatrywałem się w wodospad Renu i wsłuchiwałem w szum jego.

Dzień następny znów zastał mnie w drodze z torbą na plecach i kijem w ręce. Postanowiłem udać się piechotą brzegiem Reuu i jeziora Konstanckiego, przez który Ren przepływa, aż do miejsca, gdzie znajduje się znana mi z opisów szkoła w Glarisseg. Szkoła to nie taka, jakich dużo znają moi czytelnicy. Bo jakie znacie szkoły, drodzy czytelnicy? Szkoły początkowe, pensye, gimnazya. Wszystkie te zakłady naukowe znajdują się w miastach i miasteczkach, do wszystkich chodzi się po to, aby przez 5 godzin dziennie słuchać wykładu różnych przedmiotów. Potem wraca się do domu, do kamienicy na Chmielnej, Zielnej lub Żórawiej, idzie się na spacer i uczy lekcji na dzień następny. Taki jest program dnia bardzo wielu z moich czytelników, nieprawdaż? I dopiero na wakacje, i to nie wszyscy, mogą sobie pobujać w łódce po stawie lub rzece, po polach na kucu, pokopać w ogrodzie, pozbierać roślin lub owadów.

Jakże inaczej żyją uczniowie szkoły w Glarisseg nad Konstanckim jeziorem! U nich prawie cały rok są wakacje i zarazem cały rok rokiem szkolnym nazwać można.

Oto podchodzę do szkoły, zmęczony parogodzinną wędrówką. Proszę sobie wyobrazić duży dwór wiejski z gospodarskimi zabudowaniami, polami i ogrodem, położonym nad jeziorem, a będzie to coś podobnego do owej szczęśliwej szkoły, którą miałem zwiedzić.

Na podwórzu zastaje kilkunastu chłopców w wieku od lat 11 do 16, zajętych różnemi zajęciami gospodarskiemi: jeden wiezie coś w taczkach, drugi pomaga odprzegać woły od pług, inni kręcą się z łopatami, grabiami i t. p. Trafiłem właśnie — jak mnie objaśnił p. Luberbükler, dyrektor szkoły — na godziny popołudniowe, kiedy chłopcy zajęci są pracą fizyczną a właściwie rozrywkami takimi, jakie u nas dostępne są w czasie wakacyi tylko.

zgrabnie heblują i piłują, jakie ładne półki i szafki potrafią sobie zrobić!

Gdy i te zajęcia ukończą, biorą się do rowerów, łódek i innych zabaw. Tak, w nauce i zabawie, rozwijającej ich siły fizyczne upływa uczniom w Glarisseg już trzeci rok. Szkoła ta bowiem istnieje od paru lat dopiero i wogóle takich szkół na świecie jeszcze jest niewiele. Lecz w przyszłości będzie ich coraz więcej, muszą one być i dla biednych dostępne, bo teraz

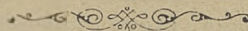


Główna pracownia w nowej Bibliotece lwowskiej. (p. str. 290).

Nie myślcie jednak, żeby uczniowie z Glarisseg dlatego znali historię, języki, geografję, matematykę i inne nauki, o nie! od g. 7 rano siedzą już oni na lekcjach do południa i uczą się dobrze. Ale zato po lekcjach, rowijających ich umysł, z ochotą zabierają się do pracy w polu, w ogrodzie a nawet w stolarskim warsztacie, znajdującym się w jednym z podwórzowych budynków. Aż przyjemnie patrzeć, jak

jeszcze zbyt w nich drogo się płaci. Opuściłem szkołę w Glarisseg, myśląc z goryczą, że u nas jeszcze nieprędko taka będzie! ¹⁾

Stanisław Krauz.



¹⁾ Dowiadujemy się, że i u nas za staraniem kś. Gralewskiego ma powstać taka szkoła w Ursynowie pod Warszawą.
(przyp. Red.)



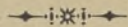
CZAROWNE KWIECIE.

Na naszej błoni rośnie kwiecie
 Czarowne, jako nigdzie w świecie:
 Kto raz wśród takich kwiatów woni
 Dzieckiem na swojskiej igrał błoni,
 Wiecznie o niej śni —
 Wiecznie o niej śni!

Kto uszczknął raz gałązkę jedną,
 Zrodzoną przez tę ziemię biedną,
 Rosa, co na dnie kwiatu lśni,
 Na serce mu kamieniem padnie
 I czar tęsknotą go owładnie,
 Bo w tej rosie łyż — bo, w tej rosie łyż!

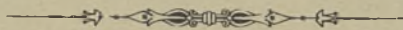
Zofia Mrozowicka.

Wawrzyniec Zeal.



TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.



— To dziwne! — wyrzekł po namyśle *Numer Ósmy*. — Nie rozumiem tego wcale... Zdaje się, że *Trzej* spotkali niespodzianie wrogów... Jeżeli tak, nasze położenie jest jeszcze niebezpieczniejsze, bo musimy walczyć z dwiema potęgami. Opuszczeni przez naszych kulisów, jesteśmy na łasce pierwszego lepszego włóczęgi, oprócz *Trzech*: a ten głos, dający hasło załodze, jest znakiem, że powinniśmy być przygotowani na najgorsze...

W tejże chwili, ten sam dziwny, przenikliwy głos rozległ się w powietrzu. Tym razem zdawało się, że idzie od rzeki, prawie z pod naszych stóp. Wybiegłem z kajuty. Naokoło była pustka, księżyc oświecał jasno cały krajobraz: krzyk zabrzmiał znowu z przeraźliwym natężeniem i ucichł...

Dopiero po chwili usłyszałem na zakręcie rzeki lekki plusk wody, i ukazała się płynąca z wielką szybkością mała dżonka, holowana przez gromadę kulisów. Na maszcie jej powiewała amerykańska flaga... Dżonka zbliżała się szybko...

I nagle głos dobrze znany zawołał mnie po imieniu, a na pokładzie nadpływającej dżonki zobaczyłem postać kobiecą...

Panna Barbara!

ROZDZIAŁ XXII.

Zbliżamy się do otchłani.

Dżonka przybiła do boku naszej łodzi, i panna Barbara weszła na pokład. Pierwsze jej słowa były:

— Znaleźliście talizman?

— Znaleźliśmy, — odrzekłem z tryumfem.

Pobiegliśmy coprędzej do kajuty, gdzie leżał *Numer Ósmy*, a przy nim, siedzący w kuczki na ziemi, czuwał Kai-fong. Gdy nas ujrzał wchodzących, na twarzy jego mignął przestraszony wyraz rozpaczy. Ale Barbara nie widziała nic, zajęta raną *Numeru Ósmego*; obejrzała ją starannie z biegłością zawodowego chirurga.

— Ach! karabinowa kula! — odetchnęła z wyraźną ulgą. Obawiałam się czegoś gorszego — jakiegoś zatrutego pocisku, Niema niebezpieczeństwa... Jak widzę, macie tu do usługi *boya* — dodała, spoglądając na Kai-fonga.

— I dobrego *boya* — odrzekł *Numer Ósmy* z uśmiechem.

Barbara przyjrzała się bacznie Chińczykowi, a ja spytałem:

— Czy znasz go?

Potrząsnęła głową na znak zaprzeczenia i odrzekła.

— Nigdy go nie widziałam...

Zdawało mi się, że na twarzy Chińczyka odbił się wyraz ulgi, ale pomyślałem, że to przywidzenie. Opowiedziałem w krótkości Barbarze o strzale, która padła przede mną, z kartką ostrzegającą o napadzie Bokserów, i o nagłym pojawieniu się Kai-fonga.

— Mogę to objaśnić — odrzekła. — Miałam wiadomość o projektowanej na was napaści, i o zamiarach, jakie mają *Trzej* podczas waszej podróży. — Pomiędzy Bokserami mam też przyjaciół, i jeden z nich przysłał wam tę strzałę.

— Więc to nie Kai-fong?

— Nie! — odrzekła stanowczo Barbara.

— To dziwne! — szepnąłem, a dawne podejrzenia odżyły we mnie odrazu.

Rozkazałem wyjść Kai-fongowi, a gdyśmy zostali sami, opowiedziałem Barbarze o znalezieniu wymordowanej osady na dżonce i, o mojem odkryciu w lesie z grobowcem.

— A teraz ja wam objaśnię wszystko! — zabrała z kolei głos Barbara. — Przybyłam do Tientsinu rankiem po waszem odpłynięciu, a chciałam was ostrzedz o obecności w tem mieście, tego naszego członka Rady *Trzech*, który was wciągnął w zasadzkę w Szanghaju. Ale przybyłam zapóźno; mogłam już tylko dopomagać wam w podróży i krzyżować zamiary waszych wrogów. Dowiedziawszy się z wiarogodnego źródła, że talizman jest na pokładzie dżonki, zarządziłam pogoń. Ale chcąc stawić czoło *Trzem* musiałam zgromadzić liczną załogę, i skutkiem tego ugodziłam ludzi, którym nie można było ufać... Trzeba jednak było pospieszać, bo szło o wasze życie. — Tylko na holowników mogłam liczyć, bo to byli dawni podwładni mego biednego ojca!...

Przerwała, i łzy napełniły jej oczy. Zaniepokojony spostrzegłem dopiero wtedy, że ubrana jest czarno, i zapytałem z trwogą:

— Twojego ojca?... A gdzież on jest?

zupa żółwiowa uważana jest przez ludzi za przysmak niepospolity. Jaja żółwie są także bardzo poszukiwane do jedzenia i dla wytłaczanego z nich oleju.

— Ale jeżeli te żółwie żyją, jak powiadasz w morzu, to i jaja muszą składać gdzieś na dnie morskiem. Przyznam się, że słyszałem nieraz „o nurkach“ czyli ludziach, spuszczających się na dno morza dla połowu pereł, — ale żeby tak samo ktoś chciał narażać życie dla wydobywania paru żółwich jaj, to mi się wydaje dosyć dziwnem — zauważył grzebień.

— Bo mylnie sądzisz o wszystkim, zamiast uważnie wysłuchać moich objaśnień. — Pomimo, że żółwie żyją w morzu, jaja swoje składają w piasku, na brzegu morskim, aby je tam słońce wygrzewało, więc zbieranie ich nie przedstawia żadnych trudności ani niebezpieczeństw. Tak samo i żółwie żyjące, w olbrzymich rzekach i bagnach Ameryki, składają swoje jaja na wybrzeżu, a jest ich taka moc, że mimo iż krajowcy najskrętniej i w olbrzymiej ilości te jaja zbierają, jeszcze całe wybrzeża roją się malutkimi, świeżo wykłutymi żółwiami, jak mrowiem

— No widzisz, a mówiłeś, że szyldkret jest taki rzadki. Jeżeli tych żółwi jest taka moc, to dlaczegoż pokrywająca je skorupa ma tak drogo kosztować?

— Za pozwoleniem! w tej chwili opowiadam wam o żółwiach amerykańskich; żółwie szyldkretowe, żyjące w oceanie Indyjskim, to znowu odmienny gatunek.

Nie poławiają się one w tak olbrzymiej ilości, a że wierzchnia część ich skorupy, czyli rogowatego pancerza, po wypolerowaniu nabiera pięknego połysku, przezroczystości i wogóle ze wszystkich wyrobów rogowych najpiękniej się przedstawia, zatem jest w całym świecie poszukiwana na rozmaite wyroby galanteryjne, jakoto: grzebień, szpilki do włosów, wachlarze, eleganckie pudełka i t. p.

— Ach, prawda; nawet nasza pani ma przecież lornetkę w szyldkretowej oprawie — przypominała sobie szcztoka. — To dosyć ładnie wygląda: szyldkret jest taki złotawo-brązowy, w jaśniejsze plamki, i połyskliwy.

— Tak, tak — właśnie taki. Ludzie, którzy są bardzo przemyślni i dużo rzeczy potrafią zrobić sztucznie, umieją też wcale dobrze naśladować szyldkret sztuczną masą. Ale naturalnie, prawdziwy szyldkret jest bez porównania trwalszy, cenniejszy i dla tego bardziej poszukiwany.

— Strasznie rozumnie gada ten „wyrób ze słoniowej kości“ szepnęła półgłosem szcztoka. — Słoń to chyba bardzo mądre zwierze.

— A mądre! mądre! zapiszczał ukryty

w szufladzie więzień. Można słonia łatwo oswoić i wyuczyć go rozmaitych sztuk, a może być także bardzo pomocnym przy polowaniu na drapieżne zwierzęta.

W tej chwili Manusia weszła z Julcią do pokoju.

— Moja Julciu, już uczesz mnie jak możesz tym kawałkiem grzebień — prosiła dziewczynka — bo ja sama całkiem nie umiem, a przecież nie mogę chodzić cały dzień nieuczesana.

— A jakżeż ja panienkę zaczeszę, kiedy już i grzebień połamany — to dopiero dzisiaj, naprawdę szarpać będę.

— Nie nie szkodzi — ja już tak będę cierpliwa, bo się przekonałam jak to trudno czesać.

Złamany grzebień nie był wcale zadowolony, że mu po złamaniu jeszcze pracować kazano. Ale Julcia obchodziła się z nim tak delikatnie, że się udobruchał i jeszcze czas jakiś służył Manusi, dopóki nie dostała nowego.

Irena Mrozowicka.

J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

— Pewnie zasobny gospodarz — rzekł do siebie.

Ma zagony i łąkę, krowy najedzone i mocne nowe buty! Ciepło mu, nie tak jak mnie.

Podwinął bosc, skostniałe nogi pod siebie, a zły duch znów mu podsuwał złe myśli.

— Jedni pracują i mają, i drudzy pracują i nie mają, tak jak my z dziadkiem. Złe być biednym i nawet bydłociu złe jest u biedaków.

Zeszło mu parę godzin na tych rozmyślaniach, gdy powrócił do chaty, dziadek już na niego czekał przed drzwiami.

— Jędrus, a cóżes to tak długo siedział z tą krową, zapomniałeś com ci mówił, że masz iść do dworu na zgodę.

Chłopak mruknął coś, dziadek spojrzał na niego uważniej i powtórzył pytanie.

— Jędrusiu zapomniałeś, co?

— Ej, Bogać tam — i poszedł do ciemnego kąta izby i usiadł na ławie.

Dziadek podniósł mu w górę głowę i uważnie spojrzał w oczy.

— A cóż mi to chłopaku tak chmurnie wyglądasz, takie masz brzydkie spojrzenie, jakbyś miał pełną głowę złych myśli.

— Nie żyje! — odparła zalewając się łzami. Zamordowany został z rozkazu *Trzech* — być może za karę mojego odstępstwa. Znalezione go zabitego w głębi prowincji Shan-tung, dokąd został zwabiony zapewne w tym celu. Jak ci mówiłam, nie mogłam nigdy zbadać, jaki tajemniczy węzeł łączył go z *Trzema* — tak dalece, że nie wahał się nawet mnie, jedyne dziecko, które kochał całą duszą, poświęcić na ich usługi. A w końcu padł ich ofiarą... Teraz, na całym świecie nie mam już nikogo — oprócz ciebie!

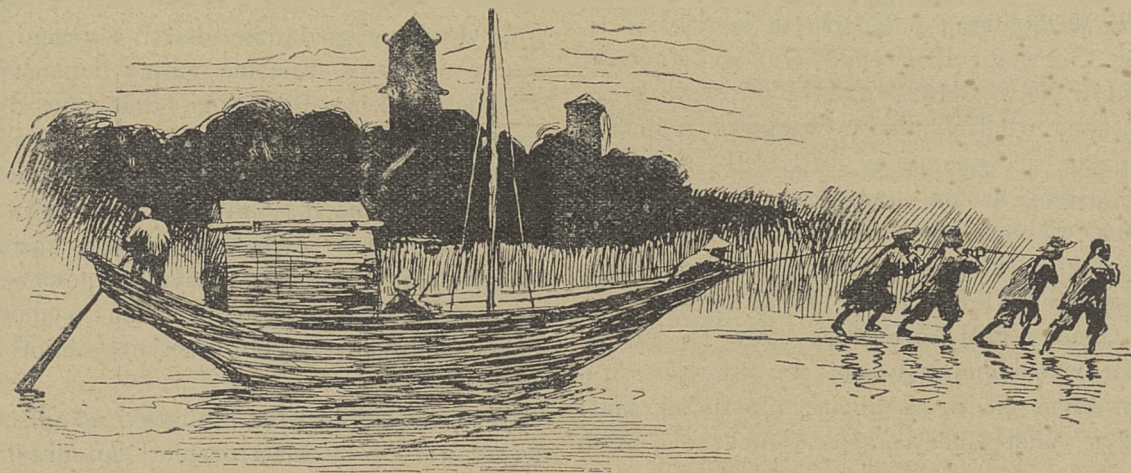
Otarła łzy, wielkim wysiłkiem woli zapanaowała nad wzruszeniem, i zaczęła mówić dalej.

— Jak ci mówiłam, między ludźmi mojej załogi, byli tacy, którym nie należało ufać... Nie wiadomo jakim sposobem doszła do nich wiadomość, że celem naszej wyprawy jest zdobycie *Talizmanu Władzy*, o którego istnieniu wiedzą

— Oddamy ją prawemu właścicielowi? — odparł z uśmiechem. I wskazał na drzwi otwarte, przez które widać było w świetle księżyca, Chińczyka, naszego kapitana, siedzącego na pokładzie *swojej* dżonki, przykucniętego przy piecyku w którym ryż sobie gotował, tak samo jak w chwili kiedyśmy go zobaczyli poraz pierwszy,

Na moje wołanie podniósł głowę; powiedział mu, że dżonkę dajemy mu na własność. Skinął głową — zawsze spokojny i łagodny. I zostawiliśmy go tak, gotującego spokojnie ryż. Nasza dżonka pomknęła, ciągniona przez licznych holowników, a on zniknął nam z oczu, na pierwszym zakręcie rzeki.

Kulisowie Barbary, holowali nas całą noc bez przerwy. Budziłem się chwilami, na odgłos ich stąpania, gdy spychali dżonkę z błotnistych mielizn lub ciągnęli ją na zakrętach rzeki, a ran-



wszyscy Chińczycy. Wiadomość ta wywołała zmowę załogi, która zbuntowała się przeciw moim rozkazom, i porzuciła nas, decydując się na niebezpieczną wyprawę lądem, w nadziei dogonienia dżonki i wydarcia talizmanu. Uciekli w nocy, pomimo oporu holowników, posłuszni rozkazom jednego z kulisów, który objął nad nimi dowództwo. Sądząc z tego coś widział, nie dopięli celu, pomimo wymordowania załogi na dżonce

— Aie co się z nimi stało? — zagadnąłem.

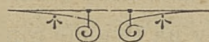
— Nie uniknęli niezawodnie losu na jaki zasłużyli. *Trzej* nie dadzą im się wymknąć, bo są przekonani, że talizman jest w ich posiadaniu... Ale nie traćmy czasu i ruszajmy coprędzej!

Ludzie Barbary już przenosili na dżonkę nasze pakunki; kiedy amunicja i zapasy zostały tam pomieszczone, przyszła kolej na przewiezienie *Numeru Ósmego*.

— A co zrobimy z naszą dżonką? — zapytałem, gdy już został umieszczony wygodnie w kajucie Barbary

kiem ujrzeliśmy mnóstwo masztów, co było zapowiedzią, że zbliżamy się do *Tenychoro*. Niebezpieczna przeprawa po rzece była już skończona!

(d. c. n.)



Rozdział Szwecyi i Norwegii.

Bardzo być może, iż w najbliższej przyszłości przybędzie Europie nowe państwo, zupełnie samodzielne: sejm norweski (storting) uchwalił zerwanie unii osobistej ze Szwecyą i złożenie z tronu wspólnego dotąd króla Oskara II. Niewiadomo tylko, czy Szwecya zgodzi się bez wojny na takie zerwanie.

Pomimo iż oba kraje zajmują jeden półwysep Skandynawski i zdawało by się, że po-

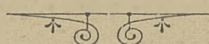
winny stanowić jedno państwo, jednakże różnica narodowości, języka i tradycji sprawiła, iż nawet przy zupełnej niezależności, tylko posiadanie jednego króla i wspólnego ministerstwa spraw zagranicznych — skłoniło Norwegczyków ostatecznie do spalania mostów za sobą i zupełnego rozdziału.

Co prawda prócz wysokiej kultury i oświaty wśród wszystkich klas ludności i sąsiedztwa geograficznego — nic ich tak bardzo z sobą nie łączy.

Język norweski jest zupełnie podobny do duńskiego a odmienny od szwedzkiego, interesa ekonomiczne i handlowe mają różne; Norwegia jest krajem wieśniaków, nie posiada szlachty, nie lubi wojny; — w Szwecyi — szlachta gra wielką rolę i pielęgnuje tradycje rycerskie Gustawa-Adolfa i Karola XII.

Zresztą i w historii dłużej żyły oddzielnie niż razem oba kraje. Dopiero w r. 1398 przez słynną Unię Kalmarską, królowa Duńska i Norweżka Małgorzata, połączyła te trzy kraje tj.: Danię, Norwęgję i Szwecję. Duńczycy uciskali Szwedów i w r. 1521 dzielny Gustaw Waza, usunawszy władzę duńską, wskrzesił królestwo szwedzkie. Norwegia aż do r. 1814 zostawała pod berłem królów duńskich. Dopiero więc w XIX w. po wojnach napoleońskich, jako kraj niepodległy i z własnym swym rządem przyjęła osobiste zwierzchnictwo króla szwedzkiego.

Obecny król szwedzki, Oskar II, odznacza się wysokimi zaletami umysłu, jest utalentowanym poetą i nigdy nie przekraczał władzy, udzielonej przez konstytucję obu państw.



NOWA BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA we Lwowie.

Mało rzeczy na świecie ginie tak, jak książki, pomimo, że świadomie i umyślnie nikt, — chyba bardzo małe dziecko, nie drze ich i niszczy. A przecie w nich zawierają się skarby myśli i wyobraźni ludzkiej, owoce badań i dociekań, a zarazem, że tak się wyrażę — narzędzie nauczania, przekonywania, wzruszania i rozrywki całych pokoleń. To też od początków cywilizacji, dotąd rozwija się umiejętność pisanja, — powstają zbiory rękopisów i książek, jako kopalnie mądrości.

Wspominają już dzieje starożytne o bibliotece Ozymandyasza w Memfisie, Achemenidów w Suzie, Pizystrata w Atenach, Oktawiańskiej i innych w Rzymie. A najbogatszą

i najsłynniejszą w starożytności była wielka biblioteka Aleksandryjska w Egipcie, którą puścił z dymem kalif Omar, następca Mahometa, w 642 r., mówiąc: „Jeśli w tych książkach jest to samo, co w Koranie, to są niepotrzebne, jeśli co innego — to są szkodliwe“. Omylił się wszelako nawet względem swych własnych następców, bo w stolicach rozmaitych dynastji arabskich powstały z czasem bogate i cenne księgozbiory.

W wiekach średnich nauka i ruch umysłowy ześrodkowały się w klasztorach, tam też znajdowały się zbiory rękopisów, pisane i przepisywane przez uczonych i pracowitych zakonników, ozdabiane nieraz piękniemi ozdobami i inicjałami.

Ale prawdziwy rozwój czytelnictwa i bibliotek powstał dopiero po wynalezieniu sztuki drukarskiej i dzisiaj niema prawie człowieka, umiającego czytać, który by nie posiadał choć kilku książek, a więc już zawiązku księgozbioru. Oprócz tego ludzie światli i uczeni, instytucje naukowe, miasta, gminy i państwa posiadają większe biblioteki, dostępne dla kół szerszych. Śmiało rzec można, iż liczbą, jakością i zasobnością większych i mniejszych bibliotek można dziś mierzyć stan kultury danego kraju, a w większości państw, każdy wydawca ma obowiązek posyłania pewnej ilości egzemplarzy wszystkich swoich wydawnictw do centralnych, czyli głównych bibliotek krajowych.

U nas najpierwsze biblioteki rękopiśmienne powstawały przy klasztorach i katedrach. Do najcelniejszych należały w XIV i XV w. — biblioteki klasztorne — w Lubieniu, Miechowie, Opatowie, na Łysej Górze i t. p. W XVI w. najbogatsze są krakowska, wileńska i zamoyska.

Po epoce wojen szwedzkich, rozproszeniu lub zniszczeniu wielu bibliotek — obudził na nowo zamiłowanie do zbierania książek w połowie XVIII w. Józef Andrzej Załuski, biskup kijowski, fundator biblioteki Załuskich w Warszawie. Dokonał on rzeczy zdumiewającej, bo w ciągu 25 lat zebrał 300000 tomów i kilkanaście tysięcy rękopisów, które w 1795 r., jako własność Rzeczypospolitej, przewieziono zostały do Petersburga i włączone do Głównej Cesarzkiej Biblioteki w tem mieście.

Bibliotekę publiczną warszawską, obecnie uniwersytecką zapoczątkował minister Łubieński, za Księstwa Warszawskiego, otworzono zaś ją w 1817 r.

Wraz z rozwojem liczby wielkich bibliotek i, ciągłego powiększania się ilości wydawanych dzieł we wszelkich dziedzinach, trzeba było obmyślać bardziej udoskonalone sposoby przechowywania tych książek.

Każdy rozumie, że niewielki to pożytek, jeśli gdzieś w pakach, czy w piwnicach leżą stopy najcenniejszych książek, trzeba je więc ustawić tak, aby nie miał do nich dostępu ogień, kurz i myszy, łakome zawsze na zadrukowaną bibułę. Dalej trzeba je spisać, ułożyć w takim porządku, aby w jaknajprędszym czasie można było potrzebną książkę wynaleźć i żądającemu udzielić.

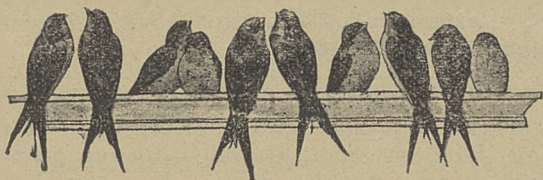
Wreszcie, ponieważ wydawanie książek po za obręb biblioteki może być dozwolone tylko wyjątkowo zaufanym osobom, a w wielu bibliotekach kategorycznie jest zakazane, trzeba nadto, aby czytelnicy mogli czytać i robić na miejscu wypisy lub notatki.

Powyższe względy wywołały rozwój technictwa bibliotecznego, który stanął najwyżej w Anglii i Ameryce. Z radością więc możemy zaznaczyć, iż we Lwowie dla bardzo bogatej już biblioteki uniwersyteckiej, z której korzysta około 30000 ludzi rocznie — stanął nowy gmach, urządzony według wszystkich wymagań najnowszej techniki.

Rycina nasza przedstawia właśnie główną pracownię naukową w tym nowym gmachu przy ul. Mochnackiego. Aż ochota bierze wejść tam i w spokoju ducha zasiąść przy którymś ze stołów, aby w należytym ciszy zagłębić się w jakimś poważnym dziele, lub starodawnym rękopisie.

W tej pracowni mieszczą się tylko podręczniki, encyklopedye i t. p. wydania, do których się zagląda najczęściej dla informacji, ale 30000 tomów mieści się w innych salach, a są skatalogowane i ułożone w ten sposób, że każdy może dzieło mu potrzebne otrzymać w ciągu 10 minut.

Dyrektorem tej wspaniałej biblioteki jest Aleksander Semkowicz, kustoszem Fryderyk Pappé a skryptorami Józef Korzeniowski, Bolesław Mańkowski i Eugeniusz Barwiński. Same przenosiny i katalogowanie książek trwały dwa lata z okładem, ale teraz cały ten skarb wiedzy i wyobraźni jest dostępny dla każdego, a od wszelkich szkód zabezpieczony. b.



Skrzynka do listów.

Korzystam ze święta, żeby odpisać na liściki wasze, czérwiec to prawdziwy dobrodziej dla piskląt, zdających egzaminy na pensjach, i osiem dni świątecznych

zapisał w kalendarzu i jakich dni! Zielone świątki pachną jeszcze tatarakiem, a tu już czas stroić ołtarze na Boże Ciało, i zbierać zioła do wianków święconych. Wyjdą z kościołów procesye żeby, na cztery strony ziemi roznieść błogosławieństwo naszym miastom i wioskom. Powiewają chorągwie nad niwami chlebnego żyta i złotej pszenicy, które w tym roku zapowiadają obfity plon. Może nadzieja lepszej przyszłości pokrzepi głodnych i zwątpiałych, może to pokrzepienie da im dźwięk dzwonów kościelnych, które rozniosą w najdalszy zakątek kraju echo modlitwy, śpiewane w dzień Bożego Ciała *Salvum fac populum Tuum, Domine, (Zbaw lud Twój Panie).*

Będę gorąco modlić się za was, kochani moi, w te dni uroczyste, za ciebie także **Ostróżko Polna** bo wiem, że dużo dołożyć musisz starań, aby uczyć się w domu dogonić rówieśnice twoje, pobierające lekcye od profesorów. Redakcja wysłała już żądane książki, które razem z przesyłką kosztują rb. 13 kop. 30. Resztę, to jest rb. 1 kop. 70 stosownie do twego życzenia zapisano na prenumeratę pisma. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z wyboru podręczników, a pamiętając, jak chętnie przyjąłś przestrożę co do litery *k* i teraz śpiesz poprawić błąd w liście: *numer* pisze się przez *u* nie przez *ó*. Żądany odbierzesz razem z książkami.

Dziękuję **Minu** za radość, jaką sprawiłaś mi swoim listem.

Każde nowe pisklę pukające, do gniazda Jaskółki, witam z radością ale i z niepokojem przypatruję się gościowi. Bo mówię sobie tak: Może zajrzy i pofrunie, może nigdy nie da już znać o sobie, a może zostanie wiernym przyjacielem „Wieczorów“, pokocha nasze grono i będę mogła rad mu dobrych udzielać, pomagać do uszlachetnienia serca. Wy nawet nie wiecie, jak Jaskółka głodna jest takiej pracy. Powtórny list twój, Miniu, wróży mi bardzo miłą korespondentkę, oto dlaczego uciażyłam się nim, a teraz niecierpliwie czekam następnych.

Rozgniewać się **Przylaszczko!** Pomyśl czy słusznie posądzasz mnie o tak złe zamiary? Obie jesteśmy zwiastunkami wiosny, więc łatwo zrozumieć się potrafimy, niezapominaj kwiatku o Jaskółce, a ona zawsze chętnie odpowiedzieć ci gotowa. Dziś już nawet radaby zapytać nową znajomą, czy czytała prace Askenazego są to prawdziwe skarby dla tych którzy, jak ty, lubią historie.

Różne **Fale** przyływały już do Jaskółki, ale ty Falo z tak daleka biegniesz i tyle dokoła siebie obcego słyszysz szumu, że Jaskółka pragnęłaby zatrzymać cię w swoim gnieździe i szeptać o wszystkim, co wspólnie nam drogie. Wytrwaj w pięknym postanowieniu uczenia się historii i donieś, czy przez wakacje pracowałaś nad tym przedmiotem choćby godzinę na dzień. Za dobre wiadomości o Niedźwiedziu dziękuję serdecznie i bardzo się niemi cieszę.

Czemu **Żelazna ręko** miałabym się śmiać z fotografii, która wielką zrobiła mi przyjemność. Z najmniejszą też radością przeczytałam w twoim liście, że masz zamiar uczyć na wsi chłopców. Rób to, bo wstyd doprawdy pomyśleć, że w naszym kraju tak wielu jest analfabetów, że na początku XIX wieku więcej mogło uczęszczać uczniów do szkół, niż ich uczęszcza w XIX stuleciu.

Wiwat **Kran Paduto**, cieszę się dobrze zdanim egzaminem i życzę ci wesołych wakacji, a pamiętaj donieś Jaskółce, jak je spędziłeś.

Kochana **Gospośia** nie przestaje być chlubą grona „Wieczorów“, bez egzaminu przeszła do wyższej klasy, teraz zaś korzystając z wakacji, uczy czytać córkę stróża. Gdybyż wszystkie korespondencki moje w ten

sposób używały wolnego czasu! Należy się wam odpoczynek po pracy, prawda, ale pamiętajcie, że jałmużna nauki najcenniejszym jest dobrodziejstwem.

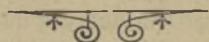
Jagienka z Drobiną dziwi się pewno, że na bardzo miły list nie odebrała odpowiedzi. Gdybym miała twój adres Jagienko odpowiedziałabym ci dlaczego, przepadła ona w drodze. Nie zrażaj się i pisz, bo nieźmiernie miłą mi jesteś rozwinięciem serca i myśli.

Rybce z Newy dziękuję za śliczną kartę i załączone na niej pozdrowienia, ale ja zawsze wolę list, gdyż więcej mi on o was przynosi wiadomości.

A teraz na zakończenie prosba do **Rezedy z nad Dniepru**, żeby przysłała swój adres **Malince**, która napisała do niej list, ale z braku adresu leży on dotąd u Jaskółki. Malinka donosi, że brat jej **Chra-baszcz** zbiera zielniki i, byłby bardzo wdzięczny za przysłanie roślin z nad Dniepru. Spełń Rezede prozbę kochanej parki z S., a wdzięczną ci za to będzie osobiście wasza

Jaskółka.

Marzącej główce odpowiada redakcja, bo zapytania do niej były zwrócone. Udział w konkursie rys. mogą brać prenumeratorzy „Wieczorów“ bez różnicy wieku, a więc i starsi; owszem prosimy bardzo i czytelników już wprawnych przysyłać swoje prace. Obrazek „Noc Świętojańska“ choć nie będzie drukowany, posiada jednak cechy świadczące, że autorka odczuwa piękno w przyrodzie, że to odczucie odbija się w jej wyobraźni i wylewa się w pewnej dość nawet udatnej formie. Chcielibyśmy posiadać więcej prób jej talentu.



ROZMAITOŚCI.

Ze wszystkich narodów najwięcej wody piją chyba Japończycy. Zwykłym ich napojem jest herbata bez cukru, ale oprócz tego piją wodę w takich ilościach, że graniczy to z prawdziwą manią. Każdy Japończyk średnio wypija dziennie 4—5 litrów wody.

*

Ogólna ilość koni na kuli ziemskiej dosięga 75 milionów, z tych: 40 milionów w Europie, 23 w Ameryce, 9 Azji, 2 w Australii i 1 Afryce. Najwięcej obfituje w konie Rosya, gdyż posiada 21 milionów, w Niemczech jest ich 4 miliony, w Anglii 3,75 i we Francji 2.9 milj. Oprócz tego ma się znajdować na kuli ziemskiej 11 milionów osłów i mułów.



OFIARY.

W redakcyi „Wieczorów Rodzinnych“ złożyli:

Dla głodnych dzieci: Aniela K. kop. 75, Leon Olbracht kop. 50, Goldstaub z Carskiego Sioła w dniu swych urodzin—10 rb.

Na Kolonie Letnie: Bezimiennie rub. 2.

Przypominamy o wczesnem odnowieniu prenumeraty na kwartał III dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.

MAGAZYN UBIORÓW MĘZKICH

otrzymał NOWOŚCI na sezon bieżący

ANGIELSKIE, FRANCUSKIE i KRAJOWE

z czem się poleca względem Sz. Publiczności

oraz **Szkoła Kroju i Szycia**

A. TRZESZCZKOWSKIEGO

112—

w Warszawie, Aleja Jerozolimska № 21, róg Brackiej.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Król przestrzeni przez J. Verne'a (z ryc.) — W noc świętojańską (wiersz) przez Leona Rygiera. — Przygody Imé Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Listy z podróży przez Stanisława Krauza. — Główna pracownia w nowej bibliotece lwowskiej (ryc.) — Czarowno kwiecie (wiersz z ryc.) przez Zofię Mrozowicką. — Talizman władzy przez Wawrzyńca Zeal'a (przekład M. G.) (z ryc.) — Rozdział Szwecji i Norwegii. — Nowa biblioteka uniwersytecka we Lwowie. — Skrzynka do listów. — Rozmaitości. — **Dodatek:** Na Boże Ciało (wiersz). — Czardziejski bór (obrazek). — Grzebień Maniusi. — Dzielný Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Юня 1905 г.

W drukarni E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.